Lwów, 30. Marca. №38. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

ZNAJDA.

Powieść w jednym tomie.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

W chacie.

(Ciąg dalszy.)

W chwili, gdy się zbliżamy do chaty pasiecznika, Oleksy jak wiemy niebyło już w domu. Na przyspie przed domem siedziała Marynka o zmroku pięknego i pogodnego dnia wiośnianego, jakie się nam czasem trafiają w kwietniu. Marynka młoda, hoża i rumiana jak zorza, była typem piękności wieśniaczek podolskich. Kto bywał na Podolu, przypomni sobie zapewne zadziwienie własne, gdy zdybał dziewkę lub mołodycę, w grubszej koszuli, a z wdziękami godnemi najcieńszego płótna. Białość liców trochę śniada, jakby od gorętszej i ciemniejszej krwi pochodząca, lekki ledwie dojrzany na nich rumieniec, zaokrąglenie twarzy przeciągłe nieco i owalne, rysy i nos regularne, typ grecki cokolwiek przypominające, usta niewielkie a czerwone jak u wiśni swiętojańskiej, łatwe do uśmiechu, łatwe do tęsknego wyrazu, a po za niemi drobne i jak śnieg białe ząbki, które lubią wyszczerzać i wiejskie dziewczęta; oczy żywe, ogniste, a czarne jak ruska piosnka powiada, czarne jak tereń; czoło wzniosłe, gładkie i bielsze od twarzy, i jeszcze bielszem się wydaje przy włosach czarnych, których gęste warkocze, krasną wstążeczką przeplatane, jeszcze byłyby piękniejsze, gdyby się więcej znały z grzebieniem; przytem kibić wyniosła i gibka, a cienka w pasie, to jest typ piękności, jaką nieraz zdybać można pomiędzy wieśniaczkami podolskiemi. I taka była Marynka, ukochana córeczka pasiecznika. Siedziała na przyspie z uśmiechem na ustach wpół otwartych, a zadumą w oczach. Uśmiech był naturalny, a zaduma przypadkowa. Bo Marynka była wesoła aż do pustoty, i dla czegóż nie miała nią być? Pieszczona przez dziadka i pradziadka, lubiona na wsi, żadnej cięższej nie oddana pracy, żyła z dnia w dzień jak skowronek, wolna i swobodna, bez myśli cięższej i cięższego uczucia. A jeżeli zaduma osiadła na czole i w oczach, to tak sobie tylko, jak to zwyczajnie przychodzi do młodej główki, po której czy w salonie czy w chacie, różne a różne przebiegają marzenia wiośniane. I zanuciła piosenkę jakąś, piosenkę prawdziwie podolską, któréj pierwsze nuty niby wesołe, przechodzą w tony coraz tęskniejsze, coraz więcej przeciągłe, niknące wreszcie, jakby je wiatr stepowy porwał na obszerne łany podolskie. Spiewka wzmogła jeszcze ten wyraz tęsknoty na czole i w oczach. Bo Marynka nie zdając sobie sprawy z tego, stawała się co chwila więcej zamyśloną. Co to było, Bóg to raczy wiedzieć, Bóg który daje pączki kwiatom, marzenia dziewczętom. Było jej jakoś i smutno i nudno, i tęskno. Za dziadkiem może?.... czyż to pierwszyna dla niej!... Może się bała czego? Lecz wnuka i prawnuka Dziubów czegóż bać się mogła? Ot tak coś nieznanego zaciężyło na sercu, i z ostatnią nutą piosenki wbiegła do oka jakaś niby łezka, może to kropelka rosy wieczornej spadła z jej długich i ciemnych rzęsów. Aż się sama zaśmiała głośno i silnie, i białe jak śnieg wyszczerzyła ząbki. Lecz nagle zarumieniła się czerwieniej od maliny, czerwieniej od własnych ust barwy. Cóż było tego powodem? Chyba ten pies legawy, który Bóg wie zkąd przyskoczył, i kudłatym kręcąc ogonem, położył cętkowaną mordę na kolanach Marynki. I łysnęła znowu uśmiechem i ząbkami, a oczy swawolnie i ciakawie patrzali to ku ścieszce, to ku coraz ciemniejszemu gajowi. A ręką, któréj tylko mniej pracy, a więcej mydła było potrzeba, aby zadziwiała swoją kształtnością, pogłaskała śmiałego legawca.

— Sa tu Bella! krzyknął głos jakiś.

I uśmiech i rumieniec wzmogły się na twarzy naszej wieśniaczki.

— Może cię przestraszyła! dodał ten sam głos, i z poza chaty, od strony ciemniejszego gaju wystąpił pan Kazimierz z fuzyją na plecach.

— Gdzie tam! to poczciwa sobaczka! odpowiedziała Marynka, zrywając się z przyspy przed paniczem.

A panicz spojrzał na Marynkę spojrzeniem, z którego by Pikulanka nie była zadowolona zupełnie. Marynka czy niedostrzegła, czy w swej niewinnej głupocie nie zrozumiała tego spojrzenia, a jeżeli się zarumieniła mocniej jeszcze, to dla tego tylko, że pan Kazimierz na znak przywitania pogłaskał jej piękną i gorącą twarzyczkę.

— Nachodziłem się za temi przeklętemi słomkami; mówił pan Kazimierz zdejmując fuzyę.

— Dziadko mówili, że słomki już odlecieli, odrzekła Marynka z uśmiechem, który dowodził nie wielką jej wiarę w słowa paniczowskie.

— I zmęczyłem się niepospolicie! mówił dalej zbliżając się do Marynki, która zaczęła się usuwać przed nim. Czy niemasz wody świeżej?

— Jest i woda; ale może panicz napije się mleka?... zapytała dziewczyna z radosnym przyciskiem, bo się jej trafiała sposobność gościnnego przyjęcia, sposobność zawsze miła dla naszych wieśniaków; a może też rada była pogwarzyć trochę z paniczem, któremu mimo całej swojej niewinności przyznać musiała, że i przystojniejszy i rozumniejszy od parobków Chałupinieckich. I nareszcie bądź co bądź, taki to zaszczyt pomówić i pobawić się z synem dziedzica.

— I owszem! i owszem! moja śliczna Marynko.

I już Marynka wbiegła do chaty, i pan Kazimierz za nią, i Bella wskoczyła za niemi. A Marynka, usłużna i skacząca gospodyni wbiegła do komory, i wnet wyszła z małym dzbankiem mleka. Panicz czekał w izbie; czy mu mleko smakowało trudno odgadnąć, ale to pewna, że żywo, bardzo żywo chciał okazać wdzięczność swoją pięknej i młodej gosposi. I porwał ją w pół, goniąc ustami za jej na wszystkie strony uciekającą twarzyczką.

— Dajcież pokój paniczu! mówiła dziewczyna śmiejąc się wesoło i niewinnie. Stłuczecie mi dzbanek!

— Juściż muszę ci podziękować, moja ty śliczna czarnobrewa Marynko.

— Jużeście przecie podziękowali.

— Alem nie pocałował!...

— A to na co?...

— Boś ty piękna! ty śliczna moja Marynko!

— To mi wszyscy mówią, choć im nie dam mleka; odpowiedziała Marynka, z uśmiechem coraz pustszym, a twarzą coraz czerwieńszą, i gorętszą.

— Dajże się pocałować!...

— A co by powiedziała na to panna ekonómowna!

— Co mi tam do niej!... Ja ciebie kocham...

— Mnie?.... ot nie żartujcie sobie paniczu z głupiej dziewczyny.

— Daj się pocałować, a przekonam cię.

— To piękne przekonanie! odpowiedziała Marynka, a uśmiech jej stawał się coraz mniej pusty, a rumieniec coraz czerwieńszy. I cofając się coraz więcej przed napastliwym paniczem, uczuła jak jej żywiej serce zadrżało, i jakoś jakby mrowie przebiegło po ciele. Cofając się weszła nazad do komory, i pan Kazimierz za nią.

— Raz jeden niech cię pocałuję! prosił panicz, a ściskał tak mocno i namiętnie.

— Cóż by to zresztą zaszkodzić mogło, przebiegła myśl przez główkę dziewczyny, której usta paliły się gorącym a tak bliskim oddechem pięknego panicza. A do tego, jak na toż ciemno było w komorze, trudniej jakoś uciekać z twarzą, i któż z resztą zobaczy. Otóż masz?.. pomyślała sobie Marynka, uczuwszy pocałowanie pana Kazimierza, palące jakby od szyny rozpalonej. Biedna dziewczyna niewiedziała sama co robić, bo panicza odpychać to jakoś nie wypada; a tu gdzie się w ciasnej a ciemnej obróci komorze, to zawsze zdybie to rękę, co tak mocno przyciska, to oddech co tak pali, to usta, które dziwne jakieś uczucie wlewają w nią.

— No już dosyć! zaszeptała cichszym głosem, oswobodziwszy się na chwilę od tych tak gorąco całujących ust.

— Marynko moja najśliczniejsza! pocałuj że ty mnie choć raz jeden... temi usteczkami ślicznemi.

— A pójdziecie sobie potem? zapytała, kapitulująca już dziewczyna...

— Ale lepiej, silniej, czulej pocałuj... Ja ciebie kocham Marynko...

Dziewczyna straciła głowę do reszty. Bo im więcej go się pozbyć chciała, tem częściej musiała całować, a im częściej całowała, tem trudniej było wyrwać się od jego uścisków, i od dziwnego niepokoju. A tu w myśli jakoś nie jasno, a w piersi jakoś duszno. Wtem nagle uczuł się pan Kazimierz silnie porwanym za ramię. Skoczył jak oparzony ku drzwiom komory, i poznał stojącego przed nim Znajdę, z wyrazem dziwnie wymownym na twarzy. Bo była na niej wola, nieugięta, szlachetna, pewna siebie, niedbała o skutki możliwe.

— Co ty chcesz!.... szpiegu!.... Znajdo!.... krzyknął przeraźliwie pan Kazimierz. A Marynka, sama niewiedziała, czy ma się cieszyć czy smucić. Było jej niby lżej ale też i smutniej niby. Bo dalibóg ten piękny panicz umie doskonale całować.

— Już jest późno! pan będzie zapewne czekać na panicza.

— A tobie co do tego!.. idź mi zaraz precz...

Znajda nic nie odpowiedział, ale pozostał nieruchomy.

— Czy nie pójdziesz?... czy słyszysz co mówię?

— Słyszę! odpowiedział.

— I nie pójdziesz?...

— Nie pójdę! odpowiedział głosem stanowczym, choć słodkim i pokornym prawie. Znajda w tej chwili piękny był, piękny wyrazem wyższej szlachetności na twarzy.

Wściekłość pana Kazimierza do najwyższego dochodziła stopnia. I obejrzał się w koło siebie; gdyby nie był strzelby zostawił w izbie, kto wie co by się stało. Postrzegł legawą sukę.

— Bella! porwij go!.... wrzasnął na nią w zupełnem zapomnieniu.

Ale Bella pokręciła tylko ogonem, nierozumiejąc tego rozkazu, i zaczęła lizać palce biednego Znajdy, palce które jej tyle razy przynosiły strawę.

— Radzę ci pójść precz, abym się nie zapomniał, krzyknął pan Kazimierz, podnosząc skurczoną pięść.

— Niech panicz bije biednego sierotę... ja się bronić będę, ale póki żyję stać będę między paniczem i tą biedną dziewczyną.

Marynka patrzała i słuchała z niezwykłą ciekawością. Ona nie rozumiała dobrze tej sceny, i wahała się po-

prawdzie powiedziawszy w swem zdaniu naiwnem. Bo panicz śliczny z temi oczami łyskającemi od gniewu. Ale i Znajda dziwnie pięknie wygląda z tą pokorą nieugiętą. A kto z nich ma racyą? ani rusz zrozumieć.

Podniesiona pięść pana Kazimierza opadła mimowolnie. I jego zadziwił, a nawet poruszył ten szczególny wyraz na twarzy stojącego przed nim chłopca.

— I nie boisz się, bym się na ciebie poskarżył przed ojcem?..

— Nie boję się, bo pan nie chciałby, by ktokolwiek a tem mniej rodzony syn jego ukrzywdził prawnuczkę starego wójta.

— I tego się nawet nie boisz, gdy powiem ojcu, jak cię dziś zdybałem w pokoju bawialnym?

— Nie paniczu! nie boję się, bo mam czyste sumienie odrzekł chłopiec, ale dziwny wyraz, jakby kurcz, przeleciał przez twarz jego.

— I czegoż chcesz tu? co ci to szkodzi, jeżeli ja chcę sam tu zostać?

Łyskawica myśli jakiejś prawej, jakby łyskawica natchnienia przemknęła przez twarz i oczy Znajdy.

— Bo ja kocham Marynkę.

— Ty ją kochasz?..

— Kocham z całego serca i duszy... kocham już od dawna, i żyć bez niej nie mogę.

Marynka zgłupiała, i zwróciła wielkie swe oczy na obydwóch.

— Ją kochasz?... wyrzekł jeszcze pan Kazimierz, i w tej chwili może się zawstydził myśli jakie miał pierwej, i w sumiennej, każdemu człowiekowi właściwej słuszności, przyznał Znajdzie prawo do podobnego postępku. Zły jeszcze, ale już milczący, odwrócił się z chmurnem czołem, porwał za strzelbę i wybiegł z chaty. Ale nie mógł wytrzymać i już za progiem będąc, zawołał głosem szyderczym:

— Winszuję ci Marynko, kochanka!... Znajdę!

Marynka i Znajda zostali sam na sam. Marynka jeszcze nie mogła przyjść do siebie po ostatnich słowach Znajdy. Słowa dopiero pana Kazimierza zbudziły ją z marzeń rozmaitych. Duma wnuczki i prawnuczki Dziubów obudziła się w niej.

— Ty mnie kochasz! ozwała się, biorąc się pod boki z wyrazem pogardy.

— Kocham! odpowiedział smutnie, spuszczając oczy w dół.

— Ty Znajda!... zaśmiała się w głos.

— Ja sierota! odrzekł jeszcze smutniej.

— I kto ci pozwolił... mnie się ani śniło... Znajda?... idź sobie precz!... i co to za śmiałość wpadać do cudzej chaty! mówiła dalej coraz się więcej unosząc, gwałtownością własnych słów.

— Bo ja ciebie kocham, bo ja szanuję twego pradziadka, i twego dziadka i stryja, choć oni wszyscy mną pomiatają... pogardzają Znajdą; jak gdyby ja temu winien, żem sam jeden, sierota bez ojca i matki na tym świecie. I dla tego nie chciałem by ciebie Marynko ten panicz....

— Cóż on złego robił że za mleko dziękował....

— Marynko! tyś niewinna jeszcze jak dziecko, i dla tego ja ciebie szanuję i uszy twoje szanuję... ale powiedz jak ty sama i drudzy ludzie sądzą pannę ekonomównę.

— I cóż z tego!.. przerwała z roztrzepaniem.

— Z ekonomówną zaczęło się także od całusów.... a teraz... palcem ją wytykają...

Marynka spuściła oczy w dół, i zamilkła.

— Nie gniewaj się na mnie Marynko!... i bądź zdrowa, a chatę zaszczepnij ze środka... Nie pożegnasz się ze mną Marynko?

Nic nie odpowiedziała dziewczyna, ale jej serce uczuło choć nie jasno, że się Znajdzie należy wdzięczność i cześć prawdziwa; wyciągnęła ku niemu rękę i porwawszy jego rękę uścisnęła ją szczerze.

— Ty dobra i poczciwa jesteś dziewczyna!

A gdy już wyszedł z chaty, stanęła Marynka we drzwiach, i zaszepnęła za nim głosem nieśmiałym i dziwnie naiwnym:

— I ty mnie kochasz bardzo? spytała go zasłaniając oczy ręką, choć już było ciemno zupełnie.

— Dla czego ty mnie pytasz o to?..

— Bo... ty jakiś dobry... ja to czuję... i może warto by ciebie kochać... ale ja sama niewiem co robię, bo ty jesteś... Znajda!... Ja bym chciała... ale się wstydzę.... dodała; wbiegła do chaty, i ozwał się turkot drewnianej zasuwki.

Znajda stanął na ścieżce, i zadumał chwilę, a w niebo, gwiazdami już pokryte, spojrzał mokrem okiem. Biedny sierota! kto wie co on przedumał, ale twarz jego miała w tej chwili wyraz szlachetności, szlachetniejszej od szlachectwa, łatwo i bez trudu odziedziczonego po rodzicach.

(Koniec rozdziału czwartego.)

OBRONA SOKOŁOWA.

Śpiew bohaterski

w IX. pieśniach.

Pieśń VII.

(Ciąg dalszy.)

Więc posła z kwitkiem puścili za wrota,
A w każdych piersiach wre walki ochota,
Bo za ojczyznę walcząc, nikt nie pyta
Wiele najeźdców? lecz bije, i kwita!
Panowie rada, na wał powracają,
Broń potrząsają, wąsy podkręcają.

„Panie Auroro!” — rzekł Pius Cisowski,
„Wiecie wy pewnie, że ten hultaj lwowski,
„Co nas wpakował do tego śmieciska,
„Jest Tatarzynem z krymskiego urwiska?
„Bo ten palmentarz wojska tatarskiego,
„Jak pięść do nosa podobny do niego;
„Ej, panie Kuba, możeście wy w błędzie,
„No! — pamiętajcie, że śmiechu z nas będzie!”
— »Co wam się plecie!» — rzekł Kuba do Jana,
„Wszak zaraz poznać po cholewach pana,
„A Tatarzyna po hultajskiej minie;
„Zresztą, wszak wiecie, umiem po łacinie,
„Więc się tak łatwo nie dam zbałamucić,
„Lepiej te myśli z głowy wam wyrzucić;
„Bo wy gotowi zrobić nas głupcami,
„Najlepiej trzymać język za zębami!”

Poszedł, a z wałów rozległy się głosy,
„Hej, okrążają nas zewsząd beznosy!”
Podzielił hufce Tatar rozjuszony,
I naprzód ciągnie w cztery wału strony.
„Hej na Tatara!” wołają mieszczany,
„Hej na beznosy, na dzikie pogany!”
Tymczasem Tatar już nad fosą stoi,
A choć zuch, przecież miesza się i boi,
Znać że się boi tatarska hołota,
Tej obfitości szuwaru i błota;
Lecz trudna rada! — wydobyli strzały,
Napięli łuki, łuki zaświstały,
I grad straszliwy ku wału uderzył,
Coraz się wzmagał, coraz dalej szerzył,
I owiał wszystkie cztery wału strony!
Oddaj się Bogu! Sokołów zgubiony!

Opadła burza, a tuż za wałami,
Coś się porusza, i kiwa głowami;
Hej, to Sokołów! a to zmartwychwstanie!
Bo też z taktyką znajomi mieszczanie!
Nim grad złowrogi padł na wał zamkowy,
Mieszczanie za wał powściubiali głowy,
I grad przeleciał, świszcząc nad uszami,
Mieszczanie świecą znowu łysinami.

Poznał Tatarzyn, że daremna praca,
Łuk niepotrzebny na plecy powraca,
I dział nie mieli do łupania wału,
Przeto do fosy wkroczyli pomału,
Dobyli szabel, i brną po kolana;
Ugrzęzły nogi, niesłuchają pana,
A wielka trwoga pomiędzy żabami,
Kręcą się, skrzeczą wrogom pod nogami,
A tu mieszczany głowy pokazują,
Gorącą łaźnię Tatarom gotują.

Najprzód z północy, gdzie sam wójt dowodzi,
Bednarska sztuka w nieprzyjaciół godzi:
Lecą tam faski, deszczułki faskowe,
Beczkowe szczątki i dna antałkowe,
A lecą hyżo, jak północne ptaki,
Niosąc Tatarom guzy i siniaki,
Lecz tem niezgięta tatarska czereda,
Nateża nogi, czy się wybrnąć nie da.
Wybrnął ów Tatar, olbrzymiej długości,
Choć z pamiątkami bednarskiej miłości,
Nos ma skrwawiony, rozcięta łysina,
A przecież na wał jak bydlę się wspina.

Już się Cisowski do niego zaleca;
A tu głos za nim „stój! ręka szlachcica
„Pierwsza do boju, niż twoja, mój bracie!”
Był to Gierwazy w wojennym ornacie.
W hełmie, pancerzu, złocistym szyszaku,
Lecz sił rycerskich już w starym ni znaku!
W ręku miecz długi, ale niepołyska,
Bo na nim pełno żółtego rdzewiska.
Jeszcze się w starcu odezwało męstwo,
Przypadł burgrabia, a w oczach zwycięstwo!
I resztką siły ciął w ramię olbrzyma,
Padł olbrzym w szuwar, lecz i miecza nie ma,
Rękojeść tylko tkwi w burgrabi ręku,
Stal w błoto wpadła, bez dźwięku, bez brzęku,
„Bądź zdrów orężu! za przyjaźń ci dzięki,
„Gdy ciebie nie ma, nie ma serca, ręki!”
Westchnął Gierwazy, na dół spuścił oczy,
I wolnym krokiem do zamczyska kroczy.

A olbrzym powstał z szuwaru i strachu,
Bo nie zabity, lecz padł od zamachu.
Drugi i trzeci wydobył się z fosy,
Wołając: „Ałłah” chrypliwemi głosy;
Już się wspinają, na wał dobywają,
A tu bednarze głowy pobijają!
Łup, cup! po głowach; lecz wrogowie dalej,
Coraz się wyżej na wały wspinali;
Aż Jan Cisowski, mąż z sercem junaczem,
Palnął olbrzyma w głowę pobijaczem,
Padł odurzony, głową tylko kiwa,
Jak gdyby wypił Janklowskie archiwa,
Łup, cup! po czaszkach drugiego, trzeciego,
Padł drugi, trzeci w fosę na pierwszego.
Tu strach obwisnął nad tatarską zgrają;
Czemprędzej z błota nogi wyciągają,
Zabrali z sobą i poległą trójcę,
Biegną do koni, i już tu po bójce.

Zaciętsza walka od południa wrzała,
Gdzie zbrojna siła gieometry stała.
I tu bez szkody grad strzalisty minął,
Zamilkł najeźdca i skrzydła podwinął;
Już się do szturmu hufce pościągały,
Zawył głos: Ałłah! na wały! na wały!

Łatwy do wału jest przystęp z tej strony,
Bo tu ów sławny leży most zwodzony;
Czterech Tatarów już na most wstępuje,
Ex-parlamentarz niemi zawiaduje;
Ale most dzisiaj pod czwórką tej dziczy,
Najlepiej dowiódł że jest most zwodniczy.
Chrapnął we czwórkę, odkrył apertury;
Ex-parlamentarz wpadł po brzuch do dziury,
Drugi Tatarzyn za kostki schwycony,
Pieszczą go deski czułemi ramiony,
Trzeci wróg zapadł po twarde kolana,
Wije się, kręci, klnie krymskiego chana,
Bo mu się proszą zalotnemi wdzięki,
W ścierwo i kości dwa najtwardsze sęki.
Czwarty po szyję w moście zanurzony,
Dołem jak bizun że szat obnażony,
Bo wszystka odzież została u góry,
Nie chcąc się spuścić do zwodniczej dziury.

A Wojtek śmiejąc trzyma się za boki.
Gdyby nie kulał byłby poszedł w skoki,

I z muzgomiarem wyciąga prawicę,
Mam cię! dosięgnął jedną muzgownicę,
Kole, łaskocze, do muzgu się kusi,
Z uciechy ledwo, że się nie udusi,
Ale żerdź krótka, próżne łaskotanie,
Więc się do muzgu Wojtek nie dostanie.
Jęczą oprawcy, wydobyć się radzi,
Ej, czy wam pilno? czekać nie zawadzi!
A sokołowskiej kwiat pierwszy młodzieży,
Otwiera bramę, żywo na most bieży,
„Tuście mospany! hultaje! nicponie!"
I do policzków namaszczają dłonie,
Lecz towarzysze, co za mostem stali,
Wnet się po rozum do głowy udali,
Napięli łuki, nałożyli strzały,
Puścili palce, wiatry zaświstały,
I grad strzalisty uderzył o wrota!
Wnet policzkowa odeszła ochota,
Lecz kwiat młodzieży miał rozum czasami,
Uciekł za bramę, aż się bił piętami.

Gdy wolne pole, najezdcy ruszyli,
Z zwodniczych kleszczów braci wyzwolili,
A gdy na moście szyki się porwały,
Więc się przez błota kuszą znów na wały,
Exparlamentarz choć w głowę pokłuty,
Lecz że miał umysł do Wojtka zatruty,
Przedarł się pierwszy przez bagna, szuwary,
Wspina się na wał, by mu stać do miary,
Rakszewski zatem, chcąc go zmierzyć bronią,
Zamachnął silnie muzgomierczą dłonią,
Ale się potknął swej nogi połową,
Więc na Tatara runął twardą głową!
Głowa się z głową gwałtownie zmierzyła,
Aż się źrenica obu zaiskrzyła!

Spadł Tatar na dół w błoto i szuwary,
Ale Rakszewski nie upadł do pary,
Bo gdzie ta ważna historya się działa,
Chwaścista wieża nad wałem bujała,
Więc kiedy Wojtka zwalił los zawzięty
Chwaścista wieża trzyma go za pięty.
„Ratuj mię Jaśku! ratuj mój jedyny!"
Wyciągnął Jasiek dratwy trzy arszyny,
Przywiązał na guz do ojcowskiej stopy,
Ciągnie! lecz ciężar jak na cztery chłopy!
I coraż niżej gieometra tonie;
Więc się czepiły inne dratwy dłonie,
Ciągnie kwiat cały Sokołowskiej niwy,
I już na wierzchu, już Wojtek szczęśliwy!

Spogląda na dół, co się w rowie święci,
Tam parlamentarz leży bez pamięci,
Ale się inni z błota wydobyli,
I wilcze zęby na wał zaostrzyli.
Czekał Rakszewski aż ich miał w bliskości,
Pokłuł, zdziurawił muzgownicze kości;
Jasiek zarzucił swą dratwę na gbury,
Schwycił jednego, ciągnie go do góry,
Ciągną i inni, a mając go blisko,
Stroją z nim sobie dziwne widowisko:
Swiszczą go ciągle! po policzkach głaszczą,
Rużują liczko, czarną smołą maszczą!
W końcu stracili bratka między żaby
By dla rozrywki grał z niemi w arcaby.
I innych także nabito, nakłuto,
Więc się cofają, przywitani suto,
Wyciągli ległych z pod bagnistych kwasów,
Biegną w tabory, więc koniec zapasów.

Ale od wschodu, gdy świstały strzały,
Trząsł się Aurora Ogonowski cały.
„Panie Siechowski nie myślcie wy proszę,
„Że trwożną duszę w mojem ciele noszę,
„Jeżli się trzęsę, to tylko dla tego,
„Żem jest troskliwy dla dobra wspólnego,
„Bo gdyby zemną poległa łacina,
„Cóżby znaczyła ta biedna mieścina?
„Lecz o mnie wcale nie boje się bracie,
„Alboż dopiero od wczoraj mię znacie?"
Tymczasem Marek znając Kuby cnotę,
Aby zapalić tę jego ochotę,
Znając na męstwo różne medecyny,
Podał Aurorze flaszę gorzaliny.
Napił się Kuba aż mu w ustach dzwoni,
Zawrzało męstwo i w sercu i w dłoni. —

Przestały świstać Tatarzynów strzały,
Zwołał Siechowski mieszczanów na wały,
A wróg we fosie już miesi brajdygi,
Przedziera ścierwo przez ostre łodygi,
Siechowski czeka, spokój nakazuje,
A wróg pod wałem naprzód tryumfuje,
Wspina się jeden i drugi i trzeci,
Aż tu Markowy szpikulec w nich leci;
Temu obłupał kości na dwa palce,
Drugiemi wjechał w żywota zakalce,
Trzeciemu zrobił dla lepszego słuchu,
Potężną dziurę w zabrudzonem uchu.
Spadli do fosy, lecz inni nadchodzą,
Rzekłbyś że z chwastów Tatarzy się rodzą.
Stał tam Aurora, Tatar w łeb go palnął
Aż Kuba z wału jak był długi walnął,
I Safandulski za nogi schwycony,
Leży przy Kubie z wału powalony;
Nawet Kaflowski nie uszedł ich ciosu,
Legł obok Kuby bez życia bez głosu.
Widzi Siechowski, że źle rzeczy idą,
Gdy zepchnął trójkę szpikulcową dzidą,
Przybiegł gdzie tyle narobił wróg klęski,
I znów w robocie szpikulec zwycięski;
Pokłuł Tatarom i lice i nosy,
Świdrował cielska, pokrwawił im włosy,
Zdmuchnął ich z wału jak liść wysuszony,
Więc znów od wrogów jest wał oczyszczony.

Tymczasem Kuba już oczy zamyka!
„Jużem zabity! wołać cyrulika,
„O! o! umieram bez komunii świętej!
„O! o!" i byłby wołał o! bez końca,
Gdyby Kaflowski, mężny społobrońca
Niebył „a!!" wołał, nogami trzepotał,
Tak, że Aurorze tok bolu pomotał;
A Safandulski ciągle „u! u!" krzyczy,
Jak stary brytan przywiązan do smyczy,
Więc surmy, trąby, kornety, puzany,
Sztorty, trafiaki, bębny, tarabany,
Dziś niepotrzebne! bo gędźba żyjąca,
Leży na ziemi ciągle dmuchająca.

Lecz Siechowskiemu nie trzeba cymbałów,
Więc gdy Tatarów pozdmuchiwał z wałów,

Pomarszczył czoło mocno zagniewany-
Widząc że mężni, leżą jak barany,
Przeto zważywszy skutki i przyczyny,
Innej pomyślał trzeba medycyny.
„Hej kija, drąga, pociegla, kopyta,
„Zresztą mój kułak tych tchórzów przywita,
„Spiuchy, piecuchy, gnuśne niedołęgi,
„Jak tu żyw stoję, że sprawię wam cięgi;
„Takto wy miasta, ojczyzny bronicie?
„Dziś się na ziemi leżyć nie wstydzicie?
„Dziś, kiedy winnien wstać umarły, żywy,
„Choć trupią ręką porwać oręż mściwy,
„Dziś! gdy ojczyznie taka grozi zguba!
„Zaraz mi na wał, bo natrę wam czuba,
„Dalej na wały, bo który nie wstanie,
„Temu lekarstwo dam na zmartwychwstanie,
I patrz, o dziwo! wszyscy zmartwychwstali,
Wstydząc się mocno oczy zakrywali.

A wróg w podwójnej powraca ilości,
Tyle do wału czuł pożądliwości!
„Bracia, pokażcie, że w was męstwo dyszy,“
Rzekł pan Sichowski do swych towarzyszy,
„Zmażcie tę plamę walecznemi czyny,
„A w waszej drodze zakwitną wawrzyny!

Powtórnie Tatar wspina się na wały,
Lecz go kańczugi dzielnie przywitały,
Zmoczył Aurora swój kańczuk we smole,
Swisnął nim wroga po oczach, po czole,
Liznął drugiego, trzeciego, czwartego,
Oślepli wrodzy od tłuszczu gęstego;
A tu Ogonki młócą kosturami,
A tu Kaflowscy skrobią kańczugami;
Wpadli Tatarzy do żabiastej fosy,
Lecz za to inni pną się płaskonosy.
Siechowski wierci i siecze i kłuje,
Kaleczy czoła, tłuste brzuchy pruje,
Pan Safandulski prawideł się chwyta,
Wymiotał wszystkie, najzdrowsze kopyta,
A pragnąc ochrzcić pogańskie pachoły,
Wylał nań Kuba cztery garnce smoły;
Zalepił oczy i gęby i nosy,
Że zaślepieni runęli do fosy,
I ztąd po macku czteremi nogami,
Pierzchają w tabor kiwając głowami. (D. c. n.)

Najnowsze dzieła.

Żegota z Milanowa Milanowski.

(Powieść p. Ign. Chodźkę.)

(Dokończenie.)

Wrócił Żegota Milanowski z konfederacyi barskiej i osiadł w swojej wiosce. Przyjaciele mu dopomogli i rozpoczął gospodarstwo zamierzając starać się o pannę Uwojniankę. Wtem przyjeżdża do niego dawny kolega Rupejko, patron trybunału litewskiego i podczaszy z prożbą, aby Milanowski pojechał wyzwać na pojedynek kasztelana za obrazę mu wyrządzoną, Żegota zaś nawzajem prosi Rupejkę, aby mu był swatem u Uwojnów. I jedzie Żegota wziąwszy swoich dwóch hajduków z sobą do kasztelana, który zamyka się w swoim pokoju, a jedynie pana Mieleszkę, swego dworzanina wysyła do przyjęcia Żegoty. Dwóch junaków staje naprzeciw siebie. Mieleszko sławny rębacz chce odstraszyć Żegotę przechwałkami junackiemi. Lecz trafiła kosa na kamień. Żegota nie mogąc dostać się do kasztelana, pisze list wyzywający, wręcza go Mieleszce, a dla pokazania mu swej siły, i co go czeka, gdyby listu nie wręczył kasztelanowi, odrębuje kawał grubego dębowego stołu pałaszem, którego niełatwo dźwignąć można, a sam wychodzi na dziedziniec i siada na koń. Kasztelan otrzymawszy list, otwiera okno, w oczach Żegoty drze list w obraźliwych pisany słowach na kawałki, i każe dworzanom i sługom swym chwytać Żegotę, który za tę obrazę mu wyrządzoną, strzela z pistoletu w okno gdzie stał kasztelan, chybia go wprawdzie, a kula zastrzęga w oddrzwiach.

Po tej trzeciej burdzie, następuje czwarta z kolei, którą zakończona jest powieść. Żegota z Rupejką jadą na imieniny do Uwojnów, Rupejko ma się oświadczyć rodzicom o pannę Dorotę w imieniu Żegoty, lecz przy oświadczeniu obecny jest i Mejra, rywal Milanowskiego,

Tymczasem Mejera przecisnął się przez tłum do Żegoty i chwyciwszy go za rękę a cisnąc gwałtownie: — Słuchaj rzekł — chcesz wziąć Dosię; wiedz, że za nią dasz życie swoje, albo moje weźmiesz; chcesz kobierca, ale ja tobie całun rozścielę!

Zadrżał Żegota, ale miarkując się wszelako: Młody jesteś panie Mejra, rzekł, więc nie umiesz ani sobie poradzić, ani się pohamować. Ale, dodał z szyderczem uśmiechem, nie ciśnij mnie tak mocno ręki, bo gdy twoją wzajemnie ścisnę, to zgniotę palce na miazgę, i nie będziesz miał czem trzymać szabli, bez której między nami jak uważam nie obejdzie się.

— Ty się najgrawasz banito! Na ciebie miecz kata nie szabla szlachecka! — wrzasnął tracący przytomność zajadły Mejra.

Milanowski wydarł swą rękę i porwał za pałasz..

Kobiety przerażone z krzykiem rzuciły się do drugiego pokoju, i tam jeszcze krzyczały. Mężczyźni osłupieli zrazu, lecz pan Micewicz, a za nim jednym głosem wszyscy zawołali: Mości panowie, nie dozwolim krwi w tym domu i w tym dniu! Zastanowił się Żegota: Tak! rzekł Tak! zasuwając nazad wpół dobyty pałasz. Krew na potem!.... Krew na potem!... A teraz... a teraz wyrzucić trzeba za okno psa wściekłego, aby uczciwych ludzi nie kąsał. I rzucił się na Mejrę... Ten go z rozpaczą rzeczewiście wściekłą przyjął.

Nie było czasu nie dopuścić ich do siebie, lub rozdzielić i rozbronić. W mgnieniu oka jakby się zrośli z sobą; rozpoczęła się walka, walka lwa z tygrysem. Widzowie, ubezpieczeni teraz że się bez krwi obejdzie, nie tylko nie tłumili ich zajadłości, ale to śmiechem, to pustem słowem podniecali ich jeszcze.

Chorąży, przypomniawszy swoje dyfferencye: To to, to! zawołał klaskając w dłonie, obaczymże teraz kto silniejszy?

— Trzymaj się Mejra! trzymaj się! krzyczano.

— Oho, nie łatwo konfederatowi! zawołał Bunak. Na wyłka biegał, teksy miszku. Jakoż poznał i Żegota, że mu nie łatwo będzie wykonać swą zapowiedź i wyrzucić Mejrę za okno. Niższy on znacznie urodą, chwycił w pół Żegotę, ale tak go silnie cisnął, że ten, chociaż miał ręce wolne, i po kilka razy podjął go w górę i do okna wnieść chciał, nigdy tego dokazać nie mógł bo go ani od ziemi, ani od siebie oderwać nie zdołał.

Dużanie się to i szamotanie rozpędzało po kątach widzów; czepiając się za rozmaite sprzęty poodrywały się szable szermierzy.

— Dość tego, Mości panowie! dość! krzyczano zewsząd, ale nikt postąpić nie śmiał, a walka się przedłużała... Zajadły Mejra targał Żegotę na wszystkie strony; ale ta sama zajadłość i trudność oparcia się tak potężnej figurze, pchając go zawsze ku oknom, wysiliły go i zmogły... Żegota, doświadczony we wszelkich i na ostre i na suche razy zapasach, poczuł i poznał tę chwilą osłabienia przeciwnika... więc zebrawszy wszystkie swe oszczędzone dotąd siły, rozerwał żelazną około siebie ze spiętych rąk Mejrę obręcz, porwał go nagle... i ze wściekłością tygrysią wpinającego się weń Mejrę nieprze-

partą potęgą i impetem lwa cisnął w okno... Precz z tego domu i z serca Dosi! krzyknął razem.

Wysadzone z ram okno prysnęło w drobiazgi i szkłem potłuczonem zasypało wypadającego przezeń Mejrę.

Huczne brawo, obojętnej na tę zniewagę zwyciężonego a ukontententowanej z widowiska publiczności osypało tryumfującego Żegotę. Mejra, ogłuszony tak okrutnym upadkiem, przez chwilę leżał na ziemi jak bez życia; lecz w krótce zerwał się na nogi, przebiegł jak szalony dziedziniec, a nim się postrzeżono, już był na koniu i pędem najwyższem poleciał do domu, o pół-mili tylko ztąd odległego.

Milanowski wnet z kolei, począwszy od gospodyni, przepraszał wszystkie damy za przestrach, jaki im sprawił. Absolwowano go tem łatwiej, że pierwsza i dotkliwa obelga od Mejry poszła.

Nastąpiło oświadczenie, które przyjęto, bo wszyscy obecni jaśnie wielmożni i wielmożni przez wrodzoną sercom dobroć popierali sprawę Żegoty, a panna Dosia nie była od tego. Zamieniono na znak zaręczyn pierściunki. Gdy wieczór ten i ów odjeżdżał do domu, więc i Żegota umyślił odjechać. Jutro znowu przyjadę, pomyślał sobie gdy tego tłumu niestanie. Siadł na koń, koń się wspiął, jakby go zrzucić chciał, lecz gdy tego dokazać nie mógł, spokojnie poszedł za bramę, a za nim dwaj hajducy nieodstępni towarzysze Żegoty. Za pagórkiem ukryty w życie czatował Mejra, a obaczywszy Żegotę wystrzelił do niego, zawoławszy: «precz z tego świata i z serca Doroty.» Żegota spadł nieżywy z konia. Gdy przywieziono do dworu Uwojnów zabitego i krzyk: nie żyje! przebiegł z ust do ust, jakby zdziwiona rzekła chorążyna, której głowa gorączką pałała:

«Nie żyje! niechże odda obrączkę! odbierzcie mu obrączkę Dosi! Czyż Dosia z trupem zaręczona?... I to mówiąc zerwawszy pierścień z rąk córki, wybiegła na ganek i rzuciła go na tłum, wołając bez ustanku: Odbierzcie mu obrączkę Dosi! czy ona z trupem zaręczona? Wnet się rzucono spełnić jej żądanie i zniweczyć myśl tę jej okropną, że córka jej zaręczona z trupem.

Jeden więc podjął dłoń umarłego i usiłował zdjąć mu oną; nagle wrzasnął i odskoczył, i wszyscy obok będący wrzasnęli i odbiegli. Trup zwarł rękę... Ostatnie widać zakradnione jeszcze tchnienie, konwulsyjnym kurczem dłoń mu ścisnęło.

— Nie oddał obrączki! zawołano, nie oddał obrączki!.....

Panna Dorota Uwojnianka umarła mniszką w klasztorze Benedyktynek w Krożach.

Oto jest główna treść tej powieści. Pierwsza scena w Szyłełach, druga w bitwie konfederackiej a trzecia w pałacu kasztelańskim, nie należą prawie zupełnie do artystycznej budowy tej powieści, są one jedynie ustępami, malującemi szlachtę z przeszłego wieku. Jakoś tak nieszczęśliwie się zdarzyło, że do ostatniej burdy Żegoty z Mejrem, trzy poprzednie dołożywszy, na samej junackiej bijatyce oparła się cała powieść. Wprawdzie wszystkie te sceny opowiedziane są z wielkim talentem, a każda z osób w nie wchodzących, czasem kilkunastu tylko słowami skreślona, ma odrębny charakter, świeży i nietknięty dotąd w powieściach, jak n. p. dwaj hajducy Żegoty: Norejko i Poroczka, ekonom Drukteju. Tem więcej żałować należy, iż autor mniej uwagi zwrócił na budowę artystyczną, że całej powieści malującej w innym względzie tak trafnie wiek ubiegły, w głównej myśli nadał przewagę jakiegoś lubowania się w burdach, bijatykach i pijatykach. Prześliczny jest ustęp gdzie Drukteju opowiada z podań litewskich, jak Krzyżacy nawrócili Żmudzinów do chrześciaństwa. Wyborne są postacie kasztelana, brata jego pułkownika, chorążego Uwojny i żony jego. Pięknie skreślone jest położenie ojca, matki i córki gdy się dowiadują, iż konkurent oświadczyć się ma. Wiadomość ta ileto niespokojnych myśli i nocy bezsennych, wielu narad codziennych a coraz troskliwszych i wielu coraz gorętszych łez i modlitw pannę i matkę nabawiła. Nie całość więc powieści, lecz pojedyncze jej postacie i ustępy skłoniły zapewne pana Grabowskiego do nazwania jej: «Klejnocikiem.«

Rozmaitość.

Towarzystwo wykształcenia muzyki w Galicyi, przez Jego ces. król. apost. Mość najwyższem postanowieniem z dnia 14. sierpnia 1838 r. zezwolone, obecnie dekretem wysokiego ministerstwa oświec. z 8. listop. 1851 r. l. 11037 zreorganizowane rozpoczyna na seryo swoje działanie. Ustawy tegoż towarzystwa z 17. §§. składające się w całej swej osnowie w języku tak polskim jak niemieckim drukiem są ogłoszone. Sądzimy jednak szanownym czytelnikom zrobić niejaką przysługę, jeżeli poprzednio, zanim co o czynnościach towarzystwa muzycznego powiemy, niektóre ustępy ustaw przynajmniej co do celu i składu tegoż towarzystwa nadmienimy. Zamierza ono przez utworzenie zakładu naukowego: (Konserwatoryum zwanego, ile możności jak najlepiej wykształcać organistów, śpiewaków, śpiewaczki, członków orkiestry, a przy szczególniejszem uzdolnieniu, koncercistów; niemniej jak też podniecać i pielęgnować zmysł do sztuki przez wyborne produkcye muzyczne.

Towarzystwo składa się z protektora, jego zastępcy, sześciu honorowych kuratorów, i z członków którzy się dzielą na wspierających, czynnych i honorowych. Wszyscy członkowie towarzystwa mają równe prawo udziału w ogólnych zgromadzeniach towarzystwa, zasiadywania i głosowania przy naradach, robienia wniosków, tudzież bezpłatny wstęp na wszelkie przez towarzystwo urządzane koncerta, publiczne produkcye, i popisy uczniów zakładu. Członek towarzystwa, któren przez lat 10 w tymże pozostać zobowiąże się, a prócz tego składkę najmniej 100 złr. m. k. wynoszącą na utworzenie funduszu zakładu naukowego uiści, ma prawo w ciągu rzeczonych lat 10 żądać bezpłatnej sześcioletniej nauki dla jednego ucznia lub uczennicy.

Wspierającym członkiem każdy staje się, który się zobowiąże przez lat trzy do towarzystwa należeć, i każdorocznie wkładkę sześciu złr. m. k. do kassy towarzystwa uiści. Sprawy bieżące towarzystwa załatwia dyrekcya z grona tegoż obrana. Dyrekcya składa się z dyrektora towarzystwa, sześciu członków dyrekcyi, sześciu zastępców, dyrektora koncertów i dyrektora konserwatorium. Tak dyrektor towarzystwa, jako też przynajmniej trzech członków dyrekcyi mają być z klassy członków wspierających, drudzy trzej członkowie dyrekcyi z klassy czynnych. Wybory dzieją się na lat trzy, po których upływie nowy wybór nastąpić musi; byli członkowie dyrekcyi mogą jednak być powtórnie obranymi. Dyrekcya obiera sama z grona własnego zawiadowcę spraw towarzystwa, który jest oraz sekretarzem prowadzącym referat przy wszystkich posiedzeniach dyrekcyi i zgromadzeniach towarzystwa, dalej kassyera, archiwaryusza, adwokata i lekarza zakładowego. Przynajmniej raz corocznie zwołuje dyrekcya wszystkich wspierających i czynnych członków na zgromadzenie ogólne, przed którem o stanie towarzystwa i jego majątku, o postępie naukowego zakładu, i w ogólności o wszystkich ważniejszych ze strony dyrekcyj przedsięwziętych krokach sprawa zdaną będzie. Na odbytem dnia 4. grudnia 1853 r. jeneralnem zgromadzeniu członków stowarzyszenia wybrano jednogłośnie dyrektorem towarzystwa tutejszego prow. burmistrza pana Höpflingena, członkami dyrekcyi panów: Edwarda Bauera, Dra Czajkowskiego, Tytusa Jachimowskiego, J. C. Kesslera, Jakóba Krzysztofowicza, Dra Marcelego Madejskiego, Józefa Promińskiego, Dra Reisingera, Jana Ruckgabera, Straskiego, Schürera, i Józefa Tinza. Sekretarzem stowarzyszenia mianowano pana Edwarda Polletina, archiwistą p. Wacława Dundera, Kassyerem p. Damiana Ceypek, obrońcą prawnym p. Dra Maurycego Mahla, a lekarzem Dra medycyny p. Jana Casparego. Ta-

kowe wybory zostały przez JEx. c. k. pana Namiestnika Agenora hr. Gołuchowskiego, jako dostojnego protektora towarzystwa potwierdzone, a przytem mianował JEx. c. k. Namiestnik zastępcą protektora JEx. hrabię Kajetana Lewickiego, kuratorami honorowemi zaś JEx. ks. Arcybiskupa Łukasza Baranieckiego, c. k. podkomorzego hr. Józefa Baworowskiego, hr. Leopolda Starzeńskiego, tutejszego radcę gminy pana Józefa Breuera, pana adwokata krajowego Dra Józefa Malinowskiego i radcę gminy p. Jana Towarnickiego. Ukonstytuowane tak towarzystwo muzyczne rozpoczyna już z dniem 1go maja b. r. szkołę śpiewu, skrzypców i violoncelli. Nauki udzielać będą znani zaszczytnie w tym zawodzie nauczyciele jak pp. Haimer, Braun i t. p. Szkoła każdego przedmiotu dzieli się na trzy klassy, do których uczniowie lub uczennice wedle rozwiniętych już wiadomości muzykalnych przydzielani będą. Godziny nauki śpiewu dla dziewcząt są oddzielne od godzin nauki dla mężczyzn, a o ile wiemy dąży w szczególności dyrekcya do tego ażeby uczennicom lekcye przez kobiety udzielane były. Lokal na szkoły wynajęty na 2giem piętrze w kamienicy pp. Augustynowiczów przy ulicy wyższej-Ormiańskiej pod Nrem 122 miasta. W temże pomieszkaniu jest także kancelarya towarzystwa codziennie od godziny 3. z południa do 8. wieczorem otwartą. Zapisy uczniów do szkoły, równie jak członków wspierających, czy czynnych, do towarzystwa przystępujących, dzieją się w kancelaryi towarzystwa. O ile muzyka na wykształcenie serca ludzkiego, a tem samem na rozwój sztuk pięknych jak i wszelkich umiejętności w ogóle działa, niepotrzebujemy nad tem, jako rzeczą zbyt znaną i doświadczoną tak dalece się rozszerzać; śmiało więc powiemy, że zakład podobny nie może jak tylko najzbawienniejsze i w naszym kraju wyprowadzić skutki. Słuszną zatem mają nadzieje, że stowarzyszenie muzyczne znajdzie we wszystkich mieszkańcach Galicyi, do podźwignienia zakładów naukowych tyle zawsze chętnych, rzetelne uznanie i pomoc, a dyrekcya towarzystwa nie będzie szczędzić starań i pracy, by zakład ten postawić na stopie doskonałości znanych nam zakładów tego rodzaju w innych prowincyach monarchii.

* **Zapowiedziany sobotni koncert** rozpoczął się uwerturą Feliksa Mendelsohna-Bartholdy do Szekspirowskiego dramatu: Sen nocy letniej. Orkiestra wzmocniona wielu dyletantami wykonała to trudne bardzo dzieło z dosyć wielką precyzyą. Poczem odśpiewała panna Albertycz aryę z opery „Anna Bolena.“ W pięknem oddaniu widać było szczególnie dobrą metodę. Słyszeliśmy iż nauczycielką jej była pani Pohlmann-Kressner, która już kilka znakomitych wykształciła śpiewaczek. Jej to uczennicą jest także panna Seja, której piękny głos i metodę słyszeliśmy w koncercie danym niedawno. Pan Marek odegrał fantazyą z „Lucia di Lamermoor“ Prudenta. Jeden z utalentowanych i dźwięczny głos mających dyletantów pan Antoni Dębicki odśpiewał pieśń Arnolda. Jestto młody człowiek mający doskonałą znajomość śpiewu, a głos baryton wysoki. Publiczność oceniła go po słuszności, obsypując go mnogiemi oklaskami. Poczem na zakończenie pierwszego oddziału, młody zaledwie 14 lat mający skrzypek, Karol Kozłowski, z wielką pewnością odegrał Vieuxtemps'a trudną bardzo „Fantaisie Caprice.“ Młodemu temu artyście przepowiedzieć dziś już można piękną przyszłość w świecie muzycznym. W drugim oddziale przedstawiono Symfonię-Odę Davida: Puszcza. Chóry złożone były z samych dyletantów. Niemiecki dramatyczny artysta p. Varry wygłaszał pięknie do deklamacyi wyznaczone międzystrofy, a pierwszy śpiewak z izraelickiej świątyni, pan Abras śpiewał partye solo. Głos jego silny i dźwięczny podobał się powszechnie. Śpiew jego: „Wezwanie wiernych przez Muezyma do modlitwy,“ odcieniowany był zupełnie i umyślnie w sposób orientalny. Publiczność zgromadziła się bardzo licznie. Postępowanie naszych śpiewaków teatralnych tak solistów jak i chórzystów nie zasługuje zapewne na pochwałę. Usunęli się od wzięcia udziału w tem przedstawieniu. A przecież przynajmniej w świecie harmonii powinno by być więcej harmonii! przynajmniej między zwolennikami muz powinnoby być więcej solidarności. Dochód był przeznaczony na fundusz emerytalny dla członków teatralnej orkiestry, którzy to, choć po połowie przyczyniają się do powodzeń śpiewaków, jednakowo wszelkie oklaski i pochwały oddają na własność śpiewakóm, nie mogąc nawet z szczupłych swych dochodów zabezpieczyć sobie przyszłości. Czyż nie godziło się odpłacić im to wzięciem udziału w tym koncercie?

* **Z Krakowa.** Podczas gdy jeszcze żaden z artystów, począwszy od popielca aż do tej chwili, nieraczył obecnością swoją urozmaicić tak jednostajne życie usamotnionej publiczności krakowskiej; natura łaskawsza i grzeczniejsza od ludzi, wyprawiając od niejakiego czasu, jak nam poprzednio doniosły niemieckie dzienniki, szczególniejsze koncerta po całych Niemczech, nieomieszkała i do nas zawitać I tak na dniu dzisiejszem, to jest 26 Marca około 6. godziny zrana po całonocnej zawierusze i śnieżnej zamieci, naraz błyskawicą zajaśniały nieba, i dwukrotne uderzenie piorunu dziwną nam sprawiło niespodziankę.

Jutro na benefis pana Smochowskiego: **Kupiec wenecki.** Szekspira.

Przyjechali dnia 27. 28. i 29. marca do Lwowa:

PP. Domaradzki Seweryn, z Staniemirza. Papara Stanisław, z Dolnicza. Turczyński Jan, z Żółkwi. Vogel Jan, z Stryja. Walewski Alexander, z Kłodna. Witwicki Leopold, z Załuża. Włodek Roman, z Dombrowic.

PP. Czajkowski Izydor, z Uherzec. Schenk Jan, z Sambora. Tomanek Jan, z Wiednia.

PP. Hordyński Franciszek, z Tatar. Niesiołowski Anselm z Sobola. Pollak Wacław, z Bykowa.

Wyjechali dnia 27. 28. i 29. marca ze Lwowa:

PP. Dobek Konstanty, do Złoczowa. Srokowski August, do Kopeczyniec. Terlecki Sylwester, do Sambora.

PP. Nahojowski Jan, do Stryja. Smulowski Józef do, Stryja. hr. Tarnowski Jan, do Żółkwi. Turczyński Karol, do Jarosławia.

PP. Petrowicz Wicenty, do Bartatowa.

Kurs lwowski

Dzisiejszy.	gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	36	złr.	6	kr.	40.
Dukat cesarski	»	6	»	40	»	6	»	45.
Półimperyał zł. rosyjski	»	11	»	30	»	11	»	40.
Rubel srebrny rosyjski	»	2	»	14	»	2	»	16.
Talar pruski	»	2	»	10	»	2	»	12.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	33	»	1	»	34.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . .	»	91	»	15	»	91	»	30.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam.	—	Marsylia	—
Augsburg za 100 złr.	146½.	Medyolan za 300 lirów	142½.
Bukareszt	193.	Paryż za 300 franków	174.
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy . . .	146½.	Agio duk. ces.	48½.
Genua.	—	Srebra agio	46.
Hamburg za 100 tal. banco.	110.	Pożyczka 5% 79¼. 4½	69⅝.
Konstantynopol.	—	Pożyczka lit. B.	—
Liwurno.	—	Akcye banku	1028.
Londyn za 1 funt szterl.	14. 23.	Kolej północna	2105.
		Obl. ind. . . . . 5%.	—

Z numerem dzisiejszym kończy się prenumerata na kwartał pierwszy.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**